

dla dzieci

dorosłych

TO prawda, że właściwie cała przeszłość stanowi dla kultury współczesnej, literatury czy teatru przestrzeń penetracji, że prawie wszędzie odkryć możemy, niekiedy ze zdumieniem, wiedzę lepszą niż moglibyśmy się spodziewać. Są jednak pozycje, które w sposób szczególnie owocny zapowiadają nasze czasy, a może nawet jeszcze jakieś czasy przyszłe, przed nami będące, których nie potrafimy się domyślać. Szczególne przy tym, że są to z reguły dzieła z zakresu tak zwanej „literatury kreacyjnej”, a więc literatury powołującej do istnienia światy mniej lub bardziej samoistne, nie będące niewolniczą kopią łatwej do uchwycenia oczywistości społecznej. Bywają to czasem dzieła niezmiernie poważne, wręcz święte — ale bywają i rzeczy z pozoru bagatelne.

I tak właśnie jest z „Alicją w krainie czarów” Carrolla Lewisa. Co prawda właściwie cała literatura dziecięca przynosi światy imaginowane, lecz rozległość i spójność wizji „Alicji” przekracza przeciętną miarę. Czy jednak ów świat nie jest światem bez reszty spełniającym się w słowie? Jak w inny sposób ukazać ów słynny uśmiech kota, trwający jeszcze w powietrzu, choć sam kot już zniknął? Tak, i to i wiele innych jeszcze konceptów. Są to rzeczy niemożliwe wizualnie czy w jakikolwiek inny zmysłowy sposób. Ale sporo jednak da się przelożyć na język jakiejś innej sztuki, na przykład język teatru.

I tego właśnie spróbował Andrzej Strzelecki w teatrze „Rozmaitości”. Trzeba przyznać, że ma niezłe przygotowanie: od paru lat oglądamy jego kabaret telewizyjny, jedną z najciekawszych pozycji małego ekranu. Kabaret ten ma bardzo wyrazistą, odrębną stylistykę, choć trudno byłoby ją precyzyjnie sformułować. W każdym razie polega to na szczególnej strukturze, na igraszce, niemal abstrakcyjnej, abstrakcyjnej abstrakcją absurdu. I to właśnie zostało zastosowane w przypadku scenicznej „Alicji”. Ale sprawa nadal nie była prosta. Strzelecki oparł się na przekładzie Marii Morawskiej, ale nie poprzestał na tym — dopisał swoje, zresztą bardzo zabawne piosenki. Musiał przecież liczyć się z dwojaką i bardzo różną publicznością. Z jednej strony musiał ukontentować dzieci, z drugiej — dorosłych. Dla dzieci były bajecznie kolorowe kostiumy i niezmiernie żywy ruch na scenie. Aktorzy byli istotnie ogromnie sprawni — a trzeba wiedzieć, że gra dla dzieci wymaga dość specjalnych, wcale niełatwych kwalifikacji. W tym wypadku niczyjej sprawności nie można było niczego zarzucić, żal tylko, że nie można wyliczyć tych kilkunastu młodych, znakomicie przygotowanych i zabawnych aktorów. Były tu w każdym razie siostry Winiarskie (Barbara grała Alicję), był Jerzy Turek i kilkunastu innych, nie gorszych.

Dzieci bawiły się dobrze. A dorośli, właściwy adresat „Alicji”? Pierwszy akt miał niezmiernie szybkie, może właśnie odrobine za szybkie tempo. Było to zabawne, ale trudno byłoby rzec, że o coś wyraźnego tu chodzi. Sytuacja zmienia się dopiero w akcie następnym, a jest to zarówno słynna scena gry w krykieta, jak i sekwencja absurdałnego sądu. Otóż ta właśnie scena w samej „Alicji” jest bardzo niedaleko od dość ponurej historii. I zarazem — w ujęciu Strzeleckiego — przenosi nas po trosze w czasy świetności STS-u i „Stodoły”. Groteskowa para królewska to przecież nic innego, jak słynny Ubu-król i jego Ubica. Więc też powiało — odrobinę, odrobinę — atmosferą teatru studenckiego. Było tego zresztą rzeczywiście bardzo niewiele — ale też epoka chwwały kabaretów studenckich należy do dość odległej przeszłości.

Jak więc w sumie wszystko wypadło? Strzelecki w zapowiedzi programowej odżegnuje się od przerabiania Carrolla na traktat metafizyczny, zapowiadając za to „przerzucanie mostów swobodnych skojarzeń”, i to się chyba rzeczywiście udało. Musieli się wprawdzie dobrze napracować i kompozytor Wojciech Gluch, i choreograf i scenograf Tadeusz Wiśniewski i autorka kostiumów Ewa Czerniecka. Ale to się opłaciło — bawiliśmy się naprawdę niezłe!